



MONIKA
SKRZYPEK

GLONY

TEŻ

MUSZĄ

CZASEM

PIĆ

Monika Skrzypek

***Glony też muszą
czasem pić***

© Copyright by
Monika Skrzypek & e-bookowo

Projekt okładki:
Monika Kanios-Stańczyk

Korekta:
Patrycja Żurek

ISBN 978-83-7859-385-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

Część I

„Daj mu szansę”. Marysia przypomniała sobie słowa przyjaciółki. Siedziały wtedy na ławce w parku, przy uniwerku na piętnastostopniowym mrozie i paliły papierosy. *Szkoda tylko, że zamiast mózgu nie odmroziłam sobie tyłka* – uśmiechnęła się nieznacznie do wspomnień. Prawda, z odmrożonym tyłkiem miałyby ograniczone możliwości co do miejsca uprawiania seksu – Szpicbergen w takich okolicznościach odpada. Jednak skutki ówczesnego zlodowacenia komórek mózgowych, gdy postanowiła dać Adamowi szansę odczuwa do dzisiaj. Absolutnie nie żywi do przyjaciółki pretensji – Kaśka chciała dobrze, a dodatkowo znaki na niebie (chmurka w kształcie serca) i ziemi (dwa gile otulone skrzydłem partnera), w ten styczniowy mroźny dzień przemawiały na jego korzyść. Dwa miesiące później Adam oświadczył się, ochoczo wsunęła na palec złoty pierścionek z małym oczkiem. To nic, że wybranek serca przeważnie milczał i wymownie kiwał głową, gdy Marysia podrzucała tematy do rozmowy. Przecież

umiejętność słuchania to wyjątkowa cecha charakteru, a skoro dziewczyna z natury zawsze miała coś do powiedzenia, więc los wyszedł naprzeciw oczekiwaniom i obdarzył ją wiernym słuchaczem. Dodatkowym atutem przyszłego męża stała się słynna kaczka w maślankach, którą Adam, absolwent technikum gastronomicznego, zaserwował pewnej niedzieli przyszłym teściom. Z biegiem lat rodzina Marysi, w tym także ona sama żyła tylko wspomnieniem wykwintnej potrawy.

Po ślubie młodzi zamieszkali w wielorodzinnym domu, w dzielnicy tętniącej zielenią, z dala od ruchliwych ulic. Dom stanowił swego rodzaju inwestycję finansową państwa Wierzbickich – rodziców Adama, albowiem murowana krwawica od momentu postawienia przeznaczona była na wynajem dla studentów. Świeżo upieczonym małżonkom przydzielone gniazdko na pierwszym piętrze w zupełności wystarczało, a nocne wrzaski, tupot dzikich stóp i inne hałasy regularnie dobiegające z wyższych pięter, to taki mały bonus na nową drogę życia. Marysia posiadała szczątkowe informacje na temat rodziny męża. Wścibstwo nie było jej mocną stroną, a i Adam wymownym milczeniem nie ułatwiał sprawy. Ostrożne rozmowy z teściową, przybliżyły nieco historię Wierzbickich. Pod koniec lat sześćdziesiątych Lublin zaalała fala ludności, która to zwabiona socjalistyczną wizją lepszego życia rzuciła się na grunty niczym szarańcza na plony. Wśród zainteresowanych mianem mieszczucha, no i oczywiście działką budow-

laną byli rodzice Adama. Ojciec – Ryszard dostał pracę w fabryce samochodów (a po godzinach handlował częściami do wiertarek), matka zaś, Kazimiera, zaczęła się w przedsiębiorstwie produkującym koszule męskie. Jako że oboje hołdowali powiedzeniu: „praca wzbogaca”, a z mlekiem matki wysłali bakcył uporu i skąpstwa, nie bez kozery z czasem postawili dwa domy wielorodzinne.

Gdyby Marysia mogła jednym słowem określić rodzinę, której stała się częścią powiedziała by: pragmatyczna. Teściowa, chociaż od lat na emeryturze, przypominała klasycznego woła roboczego, zdawać by się mogło zadowolonego z egzystencji. Kobieta żyła siewem, wzrostem i plonem przydomowego ogródka. Od wiosennych przekopów zaprawionych gnojówką do jesiennych ziemniaczanych kikutów. Gdyby Kazia miała pewność, że z niej samej wyrośnie coś w rodzaju kalafiora, bez wahania zakopałaby się po szyję. Zaś Ryszard dzięki kultowi oszczędności i kontrolowaniu wydatków wmówiłby żonie, że jest rośliną dwuletnią, dzięki czemu uniknąłby wzmożonego nawożenia, a co za tym idzie dodatkowych nakładów finansowych. Tak, Wierzbiccy byli bardzo gospodarni i życiową zaradność chcieli zaszcześcić w synowej. Marysia owszem, czasem pomagała w działkowych zabiegach pielęgnacyjnych, bo sama też korzystała z dobrodziejstw ogródka. Jednak pewnego dnia została przez teściową przyłapaną na kupnie bakłażana i (o zgrozo!) posądzona nie tylko o kompletną ignorancję ekonomiczną, ale przede

wszystkim o brak szacunku dla jej (Kazimiery) pracy. Od tamtej pory dziewczyna przestała być wyrwana do pomocy, a mówiąc przydomowym marchewkom i buraczkom stanowcze nie, zaczęła swobodnie korzystać z oferty osiedlowego sklepu. Ostatecznie Kazia przeknęła grudę zniewagi. Z roku na rok w ogrodzie w zastępstwie ziemniaków oraz kapusty zaczęło pojawiać się więcej kwiatów i trawy. Z pewnością kobieta doszła do słusznego wniosku, że te parę groszy za warzywa nie doprowadzi rodziny do bankructwa, oraz że z wiekiem ubywa sił na kopanie i uprawę zagonu.

Wierzbiccy w dorobku posiadali drugiego syna. Paweł – szwagier Marysi, wieczny student, niechętny do nauki, gdyż alkohol i dziewczyny miały większą siłę przebicia, oddawał się przyjemnościom, czerpiąc wiedzę z praktycznego podejścia do egzystencji. Takie nudne i wyczerpujące zajęcia, jak choćby przerzucanie gnojówki pod wiosenne zasiewy matki nie zaprzątały głowy przyszłego inteligenta. Chodził regularnie „w miasto” uczyć się życia. Ojciec próbował przemówić mu do rozumu, powtarzając, by wreszcie zmądrzał i zajął się uczciwą pracą, ale po Pawelku wszystko spływało jak po kaczce. Gdy zawiodły metody wychowawcze Ryszard dał sobie spokój ze sprawami syna i przelał zainteresowanie na części do wiertarek i inne żelastwa, które sprzedawał co niedziela na giełdzie. Zdarzały się, owszem, sytuacje gdzie można było zobaczyć syna jak pomaga ojcu, ale pod tym płaszczem rodzinnej miłości Pawełek hodował interesownego brata bliźniaka. A jak

nie wiadomo o co chodzi, to oczywiście chodzi o pieniądze. Przecież alkohol, panienki i paliwo do beemki kosztowało.

Marysia, wychodząc za Adama, stała się nie tylko szczęśliwą panią Wierzbicką, ale także mniej szczęśliwą bezrobotną absolwentką politologii. Kierunek nie dawał zbyt wielkich możliwości na rynku pracy, a dodatkowo brak odpowiednich znajomości odbierał nadzieję na lepsze jutro. Dla dziewczyny pochodzącej z głębokiej podkarpackiej prowincji, do której po ukończeniu studiów wracać nie zamierzała, wojewódzkie miasto Lublin mimo nikłych perspektyw co do zatrudnienia, przynajmniej pozostawiało jakieś złudzenia. Któregoś dnia, Marysia dostała szansę w biurze rachunkowym „Kropka”. Właścicielka – pięćdziesięcioletnia Wiesława Breintschneider, ciotka Adama, osoba wyróżniająca się pośród innych mnóstwem „twarzowych” brodawek, przypominających niewyrośnięte pączki – łaskawie postanowiła pomóc siostrzeńcowi. Przygarniająca pod skrzydła jego młodą żonę liczyła w gruncie rzeczy na tanią siłę roboczą. Marysi jednak nie bardzo podobał się ten pomysł. Zapamiętała kobietę ze ślubu, bowiem ta jako jedyna nie złożyła dziewczynie życzeń. Pannie młodej takie zachowanie wydało się dość dziwne, a dodatkowo stan zdziwienia pogłębił fakt, że ciocia Wiesia podarowała prezent ślubny (zegarek od znanego

producenta) tylko siostrzeńcowi, ją świadomie pomijając. Adam oczywiście usprawiedliwiał kuzynkę matki mówiąc, iż „ekscentryczny” postępek to pewnie wina „efektu staropanieństwa”, niedopieszczenia, zepsutej sfluczki czy wręcz rzucenia palenia. Przekonywał żonę o możliwościach i czekającym rozwoju, gdy trochę popracuje u „kropeczki”. Tak, młoda Wierzbicka oczami wyobraźni widziała, jak z dnia na dzień rozwija w sobie chęć dokonania mordu na cioteczce – czuła, że ta ostatnia za nią nie przepada i robi wszystko, by utrudnić Marysi życie. Proroctwo nienawiści z dołączonym udręczeniem spełniło się. Dziewczyna po miesiącu pracy wracała do domu z pianą na ustach i przyklejonymi epitetami: wredna małpa, stara raszpla, wiedźma wcielona, grzyb. Wyglądało na to, że chleבודawczyni pomyliła księgowość z innymi obowiązkami, jakie przydzieliła nowej pracownicy. Do zadań Marii przede wszystkim należało wyprowadzanie na spacer bulteriera, stanowiącego nieodłączny element biura. Pusia, bo tak się wabiła suczka szefowej był to ohydny, hałaśliwy potwór o postawie roszczeniowej (zupełnie, jak pani), którego jedynym celem było pałaszowanie karkówki – (dwadzieścia pięć złotych za kilogram) i wychodzenie na spacer cztery razy w ciągu przedpołudnia. Wszystkie operacje księgowe Marysia wykonywała w tak zwanym międzyczasie. Dziewczyna dzielnie znosiła rolę psiej opiekunki, ale po dwóch miesiącach pracy w końcu nie wytrzymała, gdy doszły do niej wieści, że ukochana Pusia wkrótce będzie miała młode. Przełała się czara go-

ryczy. Wierzbicka wykrzyczała „kropeczce” w twarz, że nie zamierza realizować się jako psia mamka, po czym zabrała kubek oraz kwitnącego na czerwono kaktusa – ozdobę biurka i wyszła. Nazajutrz rodzinę Adama obiegnęła wieść, że wziął za żonę niewdzięcznicę, lenia i kompletnego nieroba.

Marysia, niezrażona pierwszą porażką w kwestii kariery zawodowej, wzięła sprawę w swoje ręce. CV rozesłała do potencjalnych pracodawców, a sama postanowiła zwiększyć szanse na pracę, zapisując się na podyplomowe studia pedagogiczne. Dla niej samej wizja niesienia kaganka oświaty była równie odrealniona, jak zdobycie uprawnienia na wózek widłowy, ale jednak możliwa. Historię zawsze lubiła, więc dlaczego miała nie spróbować nauczać? Kaśka Siemiątkowska lub po prostu Siemka, przyjaciółka ze studiów, po otrzymaniu dyplomu wróciła na stare śmieci a konkretnie na Podlasie. Tam z pomocą wuja Eugeniusza, miłośnika przyrody i entuzjasty polowań, wystarała się o staż w lokalnej gazecie „Kto i co”. Jako redaktor – detektyw tropiła śmierdzące sprawy, na przykład związane z psimi odchodami rozsianymi po parku miejskim, czy choćby aferę „majtkowa”, która dotyczyła kradzieży bielizny osobistej kobiet zamieszkałych na parterze. Złodziej pod osłoną nocy bezczelnie zrywał ze sznurka wietrzące się na balkonie figi i nawet policja pozostawała bezradna wobec zuchwałości. Kaśka na własną rękę próbowała rozwikłać zagadkę, koczując w ciemnościach pod jednym z bloków na osiedlu, na którym doszło do kilku

kradzieży, ale podczas kolejnej akcji fetyszysty po prostu zasnęła na ławce. Suma summarum złodziej wpadł w ręce wymiaru sprawiedliwości po tym, jak wyskakując z balkonu niefortunnie upadł, łamiąc przy tym nogę. Pani redaktor wysmarowała świetny artykuł „Żeby kózka nie skakała...” i w dowód uznania naczelny wysłał ją do Biebrzańskiego Parku Narodowego. Tam podobno, od pewnego czasu w tajemniczych okolicznościach na terenach bagiennych tonęły łosie. Jednak po dotarciu Kaśki na miejsce zbrodni okazało się, że nie łosie, tylko dwa norniki północne (niewielkie gryzonie zamieszkujące turzycowe kępy) i nie utonęły tylko potruły się, a szarobrunatne futra leżały na ścieżce przyrodniczej przechodzącej przez torfowiska. Po zbadaniu sprawy tropiący nos pani redaktor doprowadził ją do grupy uczniów ze Szkoły Podstawowej w Uliszowie, będącej wówczas na wycieczce szkolnej. Po wstępnym przesłuchaniu dwóch chłopców przyznało się do karmienia zwierząt groszkami śmietankowymi, które doprowadziły do zgonu gryzoni. W ramach zadośćuczynienia strat poniesionych przez park narodowy uczniowie i rodzice zobowiązali się do skojarzenia pary norników w celu wyrównania brakującej liczby osobników. Kaśka zadowolona z finału sprawy na skrzydłach wróciła do miasta, dzierżąc w dłoni kolejny reportaż.

Marysia zazdrościła przyjaciółce dreszczyku emocji. Długie, telefoniczne rozmowy jakie odbywały dziewczyny regularnie raz w tygodniu dotyczyły głównie ekscytującej pracy w redakcji. Głos Kasi w słuchawce

rozbrzmiewał symfonią dźwięków od euforii po niedowierzanie, kończąc na atakach furii. Opowiadane historie przenosiły Marysię w inną rzeczywistość, pełną intryg i afer, tak odmienną od tej, w której przyszło jej żyć. Jako żona wiodła nudną, bezbarwną egzystencję u boku Adama. Brak pracy, owszem, stanowił gorzką pigułkę, którą codziennie połykała, ale zajęcia na uczelni, a przede wszystkim każdy zaliczany egzamin przybliżał ją do wyleczenia się z bezrobocia. Adam z kolei był zdania, że nauka Marysi to fanaberie, bądź co bądź nieszkodliwe, na które przymykał oko. Skoro jednak żonę przepelniało poczucie misji, to dzięki temu miał święty spokój. O, tak święty spokój dla faceta był niczym muszla dla ślimaka – azylem, pozwalającym bezkarnie pławić się w morzu próżności. I Wierzbicki zanurzony po czubek głowy we własnym „ja”, uważał się za idealnego męża, łaskawcę, umożliwiającego żonie samorealizację. Pracował jako dostawca w piekarni, której właścicielami było małżeństwo: Anna i Witold Dąbkwie. Witolda znał jeszcze z czasów szkolnych, razem kończyli technikum gastronomiczne. Potem ich drogi rozeszły się; Adam poszedł „w kamasze”, a przyjaciel nieskory do służby wojskowej, zaczął studiować technologię żywienia. Stary Dąbek, który od niepamiętnych czasów prowadził „chlebowy” interes marzył, by kiedyś syn przejął po nim schedę. I tak pewnego dnia spełniło się pragnienie piekarza. Gdy Witek zakuwał do sesji zimowej, ojciec podczas mieszania zakwasu umarł na atak serca. Chcąc, nie chcąc młody Dąbek rzucił stu-

dia i stał się właścicielem niezłe prosperującego biznesu. W niedługim czasie wszedł w posiadanie żony Anny, bo wiadomo, co cztery ręce to nie dwie. Zresztą dziewczyna zaradna była, ładna to i klientów do prowadzonego sklepu przy piekarni przyciągała. Stanowiła żywą reklamę firmy, zwłaszcza duże piersi jawiły się jako synonim dwóch wyrośniętych, okrągłych bochenków. Długie blond włosy przywodziły na myśl dojrzałe łany zbóż, a okrągła buzia – smacznego pączuszka z nadzieaniem różanym.

Adam na parę lat stracił kontakt z kumplem, ale jak to mówią – świat jest mały, w odpowiednim miejscu i momencie skurczył się, by przyjaciele mogli reanimować starą znajomość. Od słowa do słowa Wierzbicki przyjął propozycję pracy. Wychodził o piątej rano, jechał po towar, po czym rozwoził pieczywo po sklepach drobnych sklepikarzy. Wracał do domu o ósmej ze świeżymi bułeczkami, kładł się na dwie, trzy godziny i wracał do piekarni, by powtórzyć dostawę. Popołudniami natomiast zajmował się serwisowaniem maszyn do gier hazardowych, rozstawionych w różnych częściach miasta, a czasami poza nim. Przyjeżdżał późnym wieczorem bez sił i ochoty na rozpatrywanie życia rodzinnego. Nic więc dziwnego, że Marysia z utęsknieniem czekała weekendu, kiedy Adam zwolni obroty po całotygodniowej gonitwie. Co prawda, zajęcia na uczelni kolidowały nieco z sobotnio–niedzielnymi planami spędzania wspólnie małżeńskich chwil, ale nie uskarżała się, nie narzekała. Po skończonych lekcjach biegła co tchu do męża, które-

go obecność z czasem ocierała się o wygraną na loterii – raz był, innym razem nie. Brak trafień w przeciągu paru tygodni może zniechęcić nawet najbardziej cierpliwego gracza, toteż Maria przestała uganiać się za widmem ukochanego. Po zajęciach siadała w parku, na tej samej ławce, na której ponad rok wcześniej usłyszała od Kaśki znamienne słowa: „Daj mu szansę” i w myślach analizowała związek z Adamem. Czy to, że niby kochali się raz, dwa razy w tygodniu, niby rozmawiali i niby chodzili na co niedzielne obiady do teściów było dowodem miłości?

*Jesteśmy jak ten glon – morszczyzn pęcherzykowa-
ty, który ma nibykorzenie, nibyliście i nibylodygę –
pomyślała – wszystko niby ma, a nic nie ma. też niby
mam Adasia, a tak naprawdę mam wpisane w papie-
ry „mężatka”. I co? I nic. Morszczyzn należy do króle-
stwa roślin, a ja należę do królestwa mężatek. Boże,
jestem plechą!*

Cholera, ale bym zapaliła – Marysia szybko zapomniała o morszczyźnie i zapragnęła czegoś mniej obślizgłego. Niespokojnie wierząc się na ławce czekała z nadzieją, że może dobry Bóg poczęstuje fajką, a przy okazji utną sobie miłą pogawędkę. Ale nikt nie przyszedł, nie dał „dymka” i nie pogadał. Tydzień później scenariusz z ławeczką się powielił, z tą jednak różnicą, że dziewczyna nie licząc na cud, kupiła paczkę L&M. Do szczęścia brakowało tylko rozmowy z Siemką, która przepadła jak kamień w wodę, a telefon wciąż pozostawał poza zasięgiem. Jednak pani redaktor potrafiła wspiąć się na szczyt przytomności umysłu i po dwóch tygodniach

kompletnej ciszy w eterze, wysłała przyjaciółce krótką, ale jakże wymowną wiadomość na @ skrzynkę:

Cześć Kochana! Jestem w Bieszczadach. Piszę reportaż o Januszu Pustelniku i jego ascetycznym życiu. Mówię Ci, kompletne odludzie! Szczęście, że Internet działa i dowożą pizzę. Odezwę się, jak wrócę. Buźka :)

Po przeczytaniu liściku Marysię ogarnęła przemożna chęć wyjazdu w góry. Był początek czerwca, lato zbliżało się wielkimi krokami. Soczysty kolor zieleni wlewał się do miasta, a w Bieszczadach? Oczami wyobraźni chłoneła mały domek Janusza, ukryty wśród ramion połonin. Wokół żywa zieleń zapraszała na swobodne wyhasanie i wyrzucenie z siebie wszystkich świństw cywilizacji. Nic nie stało na przeszkodzie do wyjazdu. Adam oddany pracy, nawet nie zauważyłby braku żony, ale od świadectwa ukończenia podyplomówki dzieliły Marysię dwa ostatnie egzaminy, więc zamiast kąpać się w porannej górskiej rosie, czekało ją nurzanie w notatkach.

Kaśka zadzwoniła z końcem czerwca.

– Przepraszam kochana, że odzywam się tak późno, ale dopiero teraz zeszedłam z gór. No mów, co tam na wyżynie?

– Jak okiem sięgnąć nudy, ale z pewnością wróciłaś z wrażeniami. Założę się, że wysmarowałaś artykuł pierwsza klasa! Poproszę szczegóły – Marysia aż piała z podniecenia.

– E, tam nie ma o czym gadać – Kaśka ostudziła nieco zapal przyjaciółki.



Monika Skrzypek, absolwentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego im Jana Pawła II w Lublinie. Urodzona w porze głębokiej zimy. Właścicielka gorącego serca, w którym zagościła miłość do ludzi i przyrody. Natura samotnego wilka ciągnie ją do lasu, a tymczasem pędzi stadne życie na trzecim piętrze szarego bloku na osiedlu w Pabianicach. Pisanie sprawia jej radość równie mocną jak nauka kolejnego kata czy zrozumienie trybu łączącego w języku hiszpańskim.